

## PODRÓŻE DALEKIE I BLISKIE

Michał Barabasz

# Rowerami po Kaukazie

*Kaukaz. Co wie o tym regionie przeciętny zjadacz chleba? „A gdzie to jest?” – pytają. Najłatwiej wytłumaczyć, że to za Turcją. „Niebezpiecznie tam jest” – odpowiadają. „Przecież to Rosja, a u ruskich zawsze jest niebezpiecznie. Na pewno na was napadną i głowy poucinają. Po co tam jedziecie? Żle wam tu w Urzędowie? Zobaczcie ile roboty. Przecież trzeba pracować. Nie szkoda wam pieniędzy? Ile to kosztuje?” – ciągle to słyszymy. To działa w drugą stronę, jeszcze bardziej roznieca wyobraźnię. Jak w rzeczywistości jest? Jacy są ludzie? Nastawieni pozytywnie do przybyszów czy raczej unikają kontaktu? Drogi płaskie, równe czy dziurawe, a może brak? Czy będą problemy z policją? U ruskich zawsze są problemy z policją. Kolejny stereotyp, a może prawda? Najczęściej takie sformułowania snują ludzie, którzy nigdzie nie byli a słyszeli o tym w telewizji albo wyczytali w gazecie. „Przecież musi to być prawda” – twierdzą. Dużo „czy”. Choć do tej pory odbyłem kilka wypraw, pierwszy raz będę podróżował rowerem poza Europą i nie sam. Z Sanchezem i Lamą. Czy znajdziemy wspólny język? Albo się bliżej poznamy albo się pozabijamy. Ciekawość świata jest silniejsza niż wszystko, co otacza nas dookoła. Każdy dzień dostarcza mnóstwa emocji. Z czasem podróżowanie wciąga coraz bardziej, jest pewnego rodzaju chorobą, uzależnieniem, bez którego nie można żyć. Podróżowanie pozwala spojrzeć na świat z szerszej perspektywy. Człowiek przekonuje się, jak ludzie są ograniczani przez władzę, ludzi, którzy nad nimi stoją, jak media manipulują informacją.*

### Dzień 1

#### DTS – 132 km Tbilisi – Zhinvali – Kvesheti

Dzień pierwszy, chociaż nie do końca, bo wyjazd do Warszawy na samolot odbył się 3 dni przed odlotem; dla Lamy były to 2 dni. Leciał dzień wcześniej od nas. Trzy dni spędzone na Wyczołki nastroiły odpowiednio, wprowadziły spokój i pewność. Lama odleciał w nocy w niedzielę. Kolejnego dnia nie było z nim kontaktu. Dlaczego? Coś się wydarzyło? Wkradł się pewien niepokój. Lecieliśmy z nadzieją, że nic złego się nie stało. Sanchez a pierwszy lot w życiu. Stwierdził, że bez rewelacji. Wychodzimy na lotnisku w Tbilisi. Lamy brak. Niedobrze. Szybkie poszukiwania. Pełen sukces, spał na ławce. W godzinę rowery ogarnęliśmy do stanu pełnego użytkowania. [...] Tbilisi tylko przejeżdżamy, powiemy kiedy będziemy odlatywać. [...] Obraliśmy kierunek północny, a mianowicie Gruzińską Drogę Wojenną. Główny cel: zdobyć przełęcz Jvari (2379 m) i dojechać do miejscowości Stepantsminda. Z każdym kilometrem droga pnie się coraz wyżej i otaczają nas coraz wyższe góry. Szeroką doliną płynie wielki strumień, co jakiś czas rozplywając się, tworzy mnóstwo wysp. Jedyne co kole bardzo w oczy to poniewierające się wszędzie duże ilości śmieci. [...]

### Dzień 2

#### DTS – 73 km Kvesheti – Stepantsminda – Sioni

Pada deszcz, dalej chcieliśmy jechać. Ale pada. Rano potwornie nie chciało się wstać. Chłodno było. Ogarnęcie się, śniadanko i w drogę. Podjazd na przełęcz Jvari. Od samego startu a to serpentyny, a to ostre podjazdy. Szło bardzo dobrze. Ostatnie 6 km to szutr i mnóstwo ciężarówek, które wzniewały tumany kurzu. Pierwsza przełęcz powyżej 2000 metrów zdobyta. Lama i Sanchez pierwszy raz byli tak wysoko i to od razu rowerami. Na Jvari spotkaliśmy motocyklistę z dziewczyną z Często-



Na przełęczy Jvari (2379 m n.p.m.)

chowy. [...] Szybka decyzja, że podjeżdżamy pod Cmin-da Sameba, chociaż nie było tego w planie. Chcemy to zobaczyć, to najbardziej rozpoznawalne miejsce Gruzi. Tak naprawdę to najtrudniejszy podjazd, jaki w życiu podjeżdżałem, niby tylko 6 km, ale non stop ściana. Kamienie, doły i piach. Samochody 4x4 ledwo jechały. Tętno na krawędzi zawału. Pot płynie ciurkiem. Po 3 km mam dość. Nie dojadę. Ostatkiem sił osiągam cel. Co za paskudny podjazd. Ale miejsce magiczne. Warte wysiłku, chociaż niekoniecznie rowerem, na pewno nie z sakwami. Lepiej piechotą podejść albo samochodem wjechać. [...] Nie udało się wiele ujechać, zaczęło padać. Namioty rozbijamy w deszczu. Tak już jest w górach – słońce a za chwilę deszcz. Szkoda, że nie udało się zobaczyć całej góry Kazbek, tylko częściowo się odsłoniła. Podobno rzadko ukazuje w całości swoją piękność. Takie ma kaprysy. Rozbiliśmy się w niesamowitym miejscu. Otaczają nas góry, które są pofałdowane wbrew prawom fizyki. Na dodatek natura wszystko idealnie „obciągnęła” zielonym „dywanem”. Magia. Niezapomniane chwile. Tylko tu.

### Dzień 3

#### DTS – 112 km Sioni – Zhinvali – Gudrughi

Słońce, deszcz, asfalt, szutr, kamienie, błoto, z góry, pod górę. Po ulicy łażą świny, krowy, owce. Cały miszmasz niepowtarzalnego Kaukazu.

**Dzień 4****DTS – 54 km Gudrughi – Khakhmati**

Poranek przywitał nas ładną pogodą. Pełni werwy ruszyliśmy w kierunku Shatili. Z samego rana nad wyraz dobrze się jechało. Kilometry ubywały w ekspresowym tempie i wysokość rosła szybko. Naokoło otaczały nas śnieżnobiałe szczyty. Z czasem zaczęła się psuć pogoda aż zaczęło padać. Ugrzęźliśmy 7 km przed przełęczą na wysokości 2100 metrów. Nie wyglądało to najlepiej. Schowaliśmy się pod plandekami z nadzieją, że za jakiś czas przestanie padać i pojedziemy dalej. Zaczął padać grad i wiatr przybrał na sile. Po godzinie siedzenia pod plandeką w ciągłym deszczu/gradzie zdecydowaliśmy, że rozbijamy namioty. Nie najlepsze miejsce, ale nie ma wyboru. W strugach deszczu, przy silnym wietrze staraliśmy się rozbić namioty. W jednym łamie się stelaż. Łatwo dało się naprawić. Pogoda zmieniła się diametralnie. Silny wiatr, deszcz, a w najwyższych partiach gór pada śnieg.

**Dzień 5****DTS – 112 km Khakhmati – Tianeti – Zhebota**

Wczoraj w nocy nikt nie spał, wszystkim było totalnie zimno. Kiedy ten ranek? A ranek chłodny ale słoneczny. Podejmujemy decyzję, że do Shatili nie jedziemy. Sanchez nie ma ochoty wspinać się na przełęcz, gdyż wszystkie ubrania ma mokre, a obawia się, że tam będzie zimno. Ja z Lamą jedziemy na Datwis Dźwari (2676 m) żeby zrobić foty. Ogarniamy się i gonimy do góry. Zaskakująco bardzo ciepło, chociaż wczoraj padał śnieg i jeszcze leży. Widoki pierwszej klasy. Mnóstwo zdjęć. Zjeżdżamy w dół. Po drodze zatrzymuje mnie gość z samochodu. Szwed, chce mi zrobić zdjęcie. Jest pod wrażeniem, że rowerami podróżujemy po takich górach. Dojeżdżam do noclegowni, zabieramy Sancheza i dalej w dół. Jest coraz cieplej i o to chodzi. Kręcimy kolejne kilometry ostro pod górę, tylko szutr, zero asfaltu. Ciężko się jedzie. Po to tu jesteśmy. Drogi coraz gorszej jakości. Powoli zachodzi słońce, ptaki śpiewają, ognisko się pali, kolacja się gotuje. Marchewka, maślaki nazbierane w lesie, papryczki chili, cebula, makaron. Komary nie pozwalają spokojnie posiedzieć. Zrobiliśmy dobry uczynek. Napotkanemu tubylcowi napompowaliśmy koło w rowerze. W zamian zaprosił nas do domu na nocleg i kolację. Wybraliśmy nocleg w plenerze. Dobre uczynki zawsze wracają. Karma.

**Dzień 6****DTS – 123 km Zhebota – Akhmeta – Pshaveli – Telavi**

Niedziela. Czas relaksu, relaksu, relaksu to czas, tldy tldy di tldy tldy tldy di, czas relaksu, relaksu, relaksu to czas. Nocleg w korycie strumienia i obowiązkowo kąpiel.

**Dzień 7****DTS – 116 km Telavi – Gombori – Tbilisi – Koda**

Dzień rozpoczynamy od prania ubrań w strumieniu. Śniadanko, kawka i w drogę. Na początek 12 km podjazdu na przełęcz Gombori (1600 m). Szybko poszło. Na szczycie spotykamy kilkoro Polaków, podróżują wynajętym samochodem. Dobry tekst usłyszeliśmy od nich: „Trochę pagórkowaty teren, jak na rower, wybraliście sobie”. Świetne. Kolejna trasa w dół w kierunku Tbilisi.

Z każdym kilometrem krajobraz przechodzi w coraz bardziej suchy, w półpustynny. Po drodze mija nas kamper na polskich blachach. Małżeństwo z Raciborza. Radość ze wspólnego spotkania. [...].

**Dzień 8****DTS – 117 km Koda – Marneuli – Bolnisi – Guguti – (AM) – Tashir – Stepanavan**

Powoli zmierzamy w kierunku Armenii. Jedziemy, jedziemy. Sanchez krzyczy „STOP! Zobaczcie ile marihuany!”. Wszędzie rośnie, po obu stronach drogi. No, nareszcie jest. Z „bananem na ustach” jedziemy dalej. Asfalt coraz bardziej przypomina szutr. Dobijamy do granicy gruzińsko-armeńskiej. Szybka odprawa i już jesteśmy po drugiej stronie. Niby pasmo to samo, ale jakoś inaczej. Pada, mokro. Światła miast migoczą do nas na dobranoc.



Na przełęczy Datwis Dźwari (2676 m n.p.m.)

**Dzień 9****DTS – 120 km Stepanavan – Vanadzor – Dilijan – Sevan**

Kaukaz to nie jest region dla ludzi o słabej głowie. Gdziekolwiek jesteś miejscowi zaproszą, od razu proponują bimber i wyśmienite jadło. Dzień rozpoczęliśmy od podjazdu na przełęcz Pushkini (2037 m). Poszło jak z płatka. Czysta przyjemność. W Vanadzorze pokosztowaliśmy miejscowych przysmaków: obowiązkowo szaszłyk z baraniny, ujdzie. Chociaż na mapie dalsza droga wyglądała na łatwą, wcale taka nie była, na dodatek niezła „żarka”. Powolny zjazd do Dilijan i obiad. W sklepie kupiliśmy ziarna kawy na wagę. Sprzedawca na miejscu posiada fachowy młynek i miele ją. Czysty aromat. Naładowani energią z impetem ruszamy na kolejną przełęcz Sevani (2114 m). Suniemy za szybko jak na sakwiarzy. Czy wystarczy sił? Po głowie przebiegają takie myśli. Po drodze spotykamy małżeństwo z Austrii na tandemie, jadą w dół. Jak wszystkie do tej pory napotkane przez nas osoby tak i oni są pod wrażeniem napotkanych miejsc. Wymieniamy się adresami. Tak się powiększa rodzina sakwiarzy. Tuż przed przełęczą okazuje się, że jest tunel. Postanawiam, że nie chcę jechać tunelem tylko górą. Sanchez wybiera tunel. Lama swoim tempem jedzie gdzieś z tyłu. Rozstajemy się z Sanchezem. Mijam zamknięty szlaban i zaczynam podejżdzać. Nagle z tyłu słyszę głos. „Gdzie jedziesz?” – po rosyjsku. Tak mniej więcej zrozumiałem,

że o to pyta głos z tyłu. Wracam to wyjaśnić. Sympatyczny mężczyzna wyjaśnia mi, że tą drogą, którą chciałem, nie da rady jechać rowerem na drugą stronę. Szkoda. Zaprasza mnie na kawę. [...] Rozpoczęła się gościna. Ni stąd, ni zowąd na stole pojawia się butelka z białym płynem, ser, papryka chili, chleb. Tu już tak jest. Gość jest najważniejszy. Na zdrowie. Przesympatyczny człowiek. Późna pora, lecimy dalej. Dziękujemy. Po drugiej stronie tunelu siedzi Sanchez. „Gdzie wyście tyle byli?” – pyta. „Czekam już długo na was”. Chwilę mu wyjaśniamy. „A mogłem zostać z tobą” – stwierdza. Jedziemy wzdłuż jeziora Sevan. „Morze” wśród gór. Rozbijamy się nieopodal monastyru Sevanavank. Popularne atrakcje turystyczne nie są w naszym guście. Mnóstwo ludzi, wszędzie śmieci, stragany, istny cyrk. Miejsce święte, w którym robi się kasę. Takie porabane czasy.

#### **Dzień 10**

#### **DTS – 141 km Sevan – Gavar – Martuni – Yeghegnadzor**

Jezioro Sevan. Długie i proste odcinki. Klimat podobny do Skandynawii. Jadąc wzdłuż jeziora, odnosi się wrażenie jakby przejechało się przez kilka stref klimatycznych. Z miejscowości Sevan zaczyna się podjazd na przełęcz Vayots Dzor (2410 m). Naokoło zielone łąki i pojedyncza zabudowa. Życie wygląda na spokojne, zgodne z naturą. Przyroda decyduje o wszystkim. Zjazd w dół, tylko się nie wyrwać. Duża prędkość, non stop ponad 60 km/h. Zmiana otoczenia, głęboki kanion. Po bokach sterczą kamienne ściany. Przenieśliśmy się w klimat wybitnie gorący, wszystko wypalone przez słońce, jedynie w dolinach rzecznych występuje zieleń.

#### **Dzień 11**

#### **DTS – 117 km Yeghegnadzor – Goris**

Od samego rana ładnie grzeje. Pokonujemy kolejne kilometry, racząc się widokami. Im wyżej tym większy wiatr się wzmaga, oczywiście przedni. Po trzech godzinach walki osiągamy Vorotan (2344 m). Warunki klimatyczne zmieniły się diametralnie. Zrobiło się zimno i mocno wieje. Konieczność ubrania się w długie. Do Goris docieramy wieczorem. Zmęczenie daje się we znaki. Szybko wyszukujemy miejscówkę i spać.

#### **Dzień 12**

#### **DTS – 39 km Goris – Vorotan – Goris**

Dzień odpoczynku. Lama i Sanchez zostają w Goris. Ja postanawiam pojechać do Vorotanu. 18 km „napaduwy” w dół a na samym końcu serpentyny. Ładnie tu, kilka fotek. Z powrotem jest mniej ciekawie, bo trzeba te 18 km podjechać pod górę, chociaż lubię jechać pod górę. Powoli wracam do Goris. Po drodze spotykam ludzi, którzy w sadzie zbierają morwy – raczej kobiety zbierają, bo mężczyźni siedzą w cieniu pod drzewem i się goszczą. I ja się przyłączam do gościny. Na starcie dostaję kieliszek czaczy. Szybko znajdujemy wspólny język – drugi kieliszek – opowiadają o życiu tutaj – trzeci kieliszek – chociaż ciężkie i mało pieniędzy to czują się szczęśliwi – czwarty kieliszek – rodzina jest najważniejsza. Dostaję zaproszenie do mieszkania. Stół w mig zastawiany jest smakołykami. Kosztuję wszystkiego. Dziękuję. Najedzony i „napity” jadę dalej drogą powrotną. Słońce osiąga maximum. Dużo potu. Dojeżdżam do Goris. [...]

#### **Dzień 13**

#### **DTS – 127 km Goris – Yeghegnadzor – Arpi**

[...] Trasa wiedzie tą samą drogą, którą przyjechaliśmy do Goris. Wiemy, co nas czeka. Na początku ciągle podjazd na przełęcz. Z bólami ale podjechana. Słońce coraz wyżej, robi się coraz cieplej. Mimo trudu pokonywanej trasy coraz szerszy uśmiech gości na naszych twarzach. To znak, że kryzys mija, krew się oczyszcza. Za przełęczą trasa z górki, to pod górkę. Po drodze spotykamy dwóch Polaków na rowerach. Zmierzają w przeciwnym kierunku. Kilka minut rozmowy, przekazanie różnorodnych informacji i jazda. Tereny, które obecnie pokonujemy, to niekończące się łąki usłane kolorowymi kwiatami i ziołami. Idealne miejsce do stawiania pasiek. Jest ich tu mnóstwo. Pszczoły produkują niczym nieskazonny miód. Z jednej z takich pasiek zakupujemy słoik złotego płynu. Zajeżdżamy do sklepu, trzeba spróbować tego cudu, nawet apetyt już wrócił. Palce lizać. Na przełęcz Vorotan po takim zastrzyku energii wbijamy się w ekspresowym tempie. Postanawiamy chwilę tu posiedzieć. Jest ciepłutko i przyjemnie, odwrotnie niż kiedy byliśmy tu wcześniej, wtedy silnie wiało i było cholernie zimno. Można tu zakupić owoce i warzywa. Co chwilę zatrzymuje się tu samochód. Całe rodziny, turyści, wojsko. Kupują, robią zdjęcia. [...]

#### **Dzień 14**

#### **DTS – 131 km Arpi – Ararat – Yerevan**

Po szóstej rano trzeba było opuścić namiot; to sprawa słońca. Lama postanowił wyjechać wcześniej. „Dogonicie mnie” – stwierdził. Wyjechaliśmy pół godziny po nim. Sanchez od dłuższego czasu ma problemy z żołądkiem. Przypuszcza, że to wina wody, którą czerpiemy z różnych miejsc. Od dziś postanawia kupować wodę w butelkach. Może to pomoże. W przydrożnym sklepie za wodę płaci krocie. Taki to już los turysty. No to gonimy Lamę. Za chwilę okazało się, że nie trzeba. Biesiadował w zajeździe z rodziną armeńską. Za chwilę i my dołączyliśmy do tego towarzystwa. Stół suto zastawiony. Jest co przekąsić. Ogórki, pomidory, udka pieczone, ser, suszona wołowina i nieznaną nam „szama”. To na zdrowie. „Czemu tak dużo polewasz?” – pytamy. Patrzą ze zdziwieniem. „Normalnie polane” – odpowiada. Jest siódma rano. Tak rozpoczynać dzień. Co za piękny kraj. Pytamy: „A co z pracą?” – „Nie martwcie się, zdążymy”. Odjeżdżają, zostawiają nam trochę jedzenia. Pakujemy i my w drogę. Robi się po prostu ciepło. Sanchez wydarł do przodu. W taki gorący podjazd staje się jeszcze trudniejszy. Każdy samochód, który mknie z naprzeciwka, daje chwileczkę ochłody. Sanchez znikł z przodu a Lamy nie widać z tyłu. Każdy sam na swój sposób walczy ze wzniesieniem. Dojeżdżam na przełęcz Tukh Manuk (1795 m). Sanchez leży w cieniu. We dwóch czekamy na Lamę. Za chwilę okazuje się, że to jeszcze nie koniec wspinania. Chwilę z górki i znowu w górę, ale krótko. Teraz na pewno już cały czas w dół, dobre 20 km. Prawy, lewy, prawy, lewy winklej i na horyzoncie pojawia się śnieżnobiały szpiczasty szczyt a obok niego mniejszy, tylko trochę ośnieżony: Wielki i Mały Ararat. Cudny widok. Gęsia skórka na plecach. Im niżej jesteśmy tym temperatura gwałtownie rośnie. Powietrze unoszące się znad gruntu niemal się gotuje. Co

chwile czuć na twarzy podmuchy rozgrzanego powietrza. Nie posiadamy termometru, ale temperatura oscyluje w granicach 40°C. Nie ma czym oddychać. Odpoczywamy przed sklepem, radując się widokiem Araratu i konsumując zimnego butelkowego „Ararata”, do tego soczysty melon. Jedziemy dalej, tu naprawdę jest ciepło. Co chwilę trzeba pić, bo za moment zasycha w ustach. Powoli zmierzamy do stolicy Armenii – Yerevan. Tłok, hałas, światła – oto metropolia. Robimy zakupy i uciekamy stąd jak najszybciej. [...]

#### Dzień 15

#### DTS – 73 km Yerevan – Ashtarak – Aparan – Spitak

Rano z pająka tylko odnoża zostały. Mrówki się nim zajęły. Zrobiło się troszeczkę chłodniej. Rozpoczynamy wspinaczkę w kierunku kolejnej przełęczy. Z każdym kilometrem wieje coraz silniej przedni wiatr. Z góry nawet trzeba kręcić. Zaczyna padać. Przechodzimy przy sklepie. Jedziemy i znowu pada. Historia powtarza się kilka razy. W Aparan na schodach przed jakimś urzędem zatrzymujemy się na posiłek. Za chwilę zagaduje gościo: „Skąd? Dokąd? Czy się podoba?” „To może wódeczkę walniemy” – pyta dalej. Idziemy nieopodal na pastwisko. Często tu przychodzą bo wszystko jest: stolik, siedzenia i ogólny „syf”. Opowiadają nam o sobie, o Armenii, o życiu tutaj. Trochę „zrobieni” startujemy dalej. Na podjeździe łapie nas deszcz. Na szczęście na pastwisku stoi budka pszczelarzy. „Możemy się schować?” – pytamy grzecznie. „Dawajcie” – słyszymy po rosyjsku. Niestety wpadliśmy z deszczu pod rynnę. Nim rozsiedliśmy się we wnętrzu to już mieliśmy polane po pół szklanki!!! Jak to wypić na raz? Trzeba dzielić, tym bardziej że to ma niezłą moc, bo to samoróbka. O popitce można zapomnieć, tylko zagrycha. Ich miejscowy chleb z miodem, biały ser, owoce. Jak na zbawienie czekaliśmy aż przestanie padać, bo była kolejka za kolejką. Podziękowaliśmy za gościnę i na delikatnym rauszu posuwamy się dalej. Zrobiło się ciepło i słońce wyszło. Góry i kolorowe łąki pachnące tysiącami roślin. Nie spiesząc się, dojeżdżamy do miejscowości Derek. [...]

#### Dzień 16

#### DTS – 103 km Spitak – Kakavasar – Bavra – (GEO) – Gorelovka

[...] Znowu ich nie mogę dobudzić. „Jeszcze chwileczkę” – dobiega z namiotu. Nie wyglądają za dobrze. Ciepłutko, czyste niebo a przed nami śnieżnobiały Aragac. Pokonujemy kolejne kilometry. Żeby zaoszczędzić dystansu, wybieramy skrót. Jest problem, bo na mapie istnieje droga a miejscowi mówią, że nie ma. Ryzykujemy. Jedziemy na orientację. Kończy się asfalt, rozpoczyna droga polna, która bardzo ostro pnie się do góry. Często trzeba prowadzić rower bo na kamieniach boksuje się tylne koło. Po drodze mijamy strumień – kąpiel i pranie. Odnajdujemy szutr. To pewnie nasza droga, która jest na mapie. Czyli istnieje skrót. Zauważyliśmy, że w mniejszych miejscowościach ludzie nie kojarzą swojego najbliższego otoczenia. Najczęściej znają tylko główne drogi i każą jechać naokoło. Szutr dobrej jakości więc kilometry ubywają. Zajeżdżamy do pierwszej po drodze restauracji. Menu skromniutkie. To kebab, bez rewelacji,

poprawiamy szaszłykiem – jeszcze gorszy. Kichy zapchane. Zmierzamy do granicy, wiatr się wzmógł, nie pomaga tylko przeszkadza. Docieramy do granicy, chwilę później jesteśmy w Gruzji. Żegnamy Armenię ze wspaniałymi przeżyciami. Cudowny kraj i ludzie. Rozmyślając już o noclegu, uwagę naszą zwraca trzech młodych mężczyzn siedzących na poboczu i słuchających bardzo głośno muzyki. Momentalnie nas zauważają. Jedno machnięcie ręką i już biesiadujemy z nimi: dwóch Gruzinów i jeden Azer. Zmywamy się niebawem. Dostajemy w prezencie biały ser. Wokół nas wznoszą się tumany kurzu. To ogromne stada krów wracają z pastwisk. Idą całą drogą, tamując ruch. Mija nas wypasiony mercedes, zatrzymuje się. Wsiada z niego młody człowiek, zatrzymuje nas, otwiera bagażnik pełen owoców. Biercie co chcecie i ile chcecie – mówi. Byliście niesamowicie zszokowani. Czy takie zdarzenie jest możliwe w Europie?



Tutaj krowy mogą wszystko

#### Dzień 17

#### DTS – 101 km Gorelovka – Akhalkalaki – Kumurdo – Vardzia – Aspindza – Idumala

Chłodny poranek, para z ust leci. Na szczęście na rowerze migiem się rozgrzewamy. Cały czas zmniejszamy wysokość. Za Akhalkalaki szutrem kierujemy się na Vardzie. Czy tym razem skrót się sprawdzi? Docieramy do krawędzi kanionu, drogi brak. Albo wracamy i jedziemy naokoło albo „na krechę” schodzimy w dół. Schodzimy. Dużo kombinowania i ryzyka. Jak się poślizniesz albo potkniesz lecisz w dół po skałach. Dwie godziny zajęło nam zejście 500 metrów w pionie. Udało się. Wzdłuż rzeki Mtkvari docieramy do skalnego miasta Vardzia. Syty obiad i na zwiedzanie. Kupujemy bilet. Zakaz zabierania rowerów pod skalne miasto – słyszymy. Tylko na piechotę albo samochodem. Nie do wiary. Klócimy się. Nakłamałem im, że podjedziemy kawałek, zrobimy zdjęcie i wracamy. Tak, na pewno. Puszczają nas. Podjazd krótki ale „kosa”. Skalne miasto Vardzia. Kilkanaście pięter, mnóstwo wnęk, korytarzy, szybów, sal, kaplic i wszystkiego co potrzebne do mieszkania. Takie zwykłe miasto, tylko że wykute w zboczu skalnym. Spadamy. Mijamy kasy, wybiega gościo, coś krzyczy i macha. „Do widzenia” – krzyczymy. Dla mnie to niezrozumiałe – samochodem można a rowerem nie. Pewnie za samochód jest opłata. Nieważne. Mimo że droga wiedzie w dół rzeki to są często długie i ostre podjazdy, już tak tu jest.

W nocy co chwilę przychodził pies i czekał. Nie dało się go przegonić. Nie przespana noc.

#### **Dzień 18**

#### **DTS – 108 km Idumala – Akhaltsikhe – Adigeni – Khulo**

Dojeżdżamy do Akhaltsikhe. Zakupy na bazarze i dalej w drogę. Asfalt super do momentu gdy zamienił się w totalnie zniszczoną drogę. Tyłek za chwilę zaczął boleć od ciągłego podskakiwania. Przed przełęczą Goderdzis (2025 m) spotkaliśmy parę z Niemiec i Brytyjczyka. Fota. Na przełęcz wjechaliśmy w chmurach, widoczność sięgała kilku metrów. Znowu radość, że udało się wjechać. Niestety droga zjazdowa okazała się jeszcze gorsza. Tempo zjazdu wcale nie było szybsze od podjazdu. Ciągłe hamowanie żeby na dołkach bagażnik nie odpadł. Jakie było zaskoczenie kiedy przed nami zatrzymał się samochód terenowy na krakowskich „blachach”. Chociaż podróżowali autem terenowym, również narzekali na drogę. Zaczyna kropić, docieramy do asfaltu. Pora na nocleg. Jutro morze.

#### **Dzień 19**

#### **DTS – 110 km Khulo – Batumi – Makhinjauri**

Nad morze!!! 80 km poleciało w mig. Ciepło, nawet gorąco. Batumi. Znowu tłok i hałas. Zakupy i nad morze. Plaża kamienista, ciężko chodzić bosą, kamienie nagrzane jak cholera. Woda, chociaż ciepła, to daje ochłodę. Powoli się zbieramy. Na deptaku zauważamy sakwiarza. Irańczyk – Moslem – jedzie z Teheranu do Moskwy. Proponujemy mu wspólny nocleg na plaży za miastem. Zgadza się. Wyruszamy z Batumi w poszukiwaniu noclegu, ktoś krzyczy: „Polacy!”. Zatrzymuję się. Aga z Kolonii i Piotr z Wrocławia podróżują stopem. Krótka rozmowa i chcą dołączyć do nas na plaży. Wymiana numerami. Dojadą stopem. Znajdujemy odpowiednie miejsce. Zaczynamy wieczór. Moslem wiezie ze sobą ludowy instrument strunowy, gra się podobnie jak na gitarze. Moslem gra i śpiewa. Niepowtarzalne. Odzywają się Aga i Piotr. Jadę po nich. Na miejscu okazuje się, że zabierają na plażę jeszcze dwoje spotkanych turystów – Dunkę i Turka. W międzynarodowej obsadzie przy muzyce i rozmowach wieczór trwa długo. Szum fal, wszyscy zapadają w sen.

#### **Dzień 20**

#### **Dzień przerwy**

[...] Wylegiwanie się na plaży i pływanie w morzu. Gotujemy „lepszejszy” obiad, racząc się przy tym zimnymi trunkami. Szybko minął dzień. Nareszcie opalenizna na całym ciele. Nocleg w tym samym miejscu.

#### **Dzień 21**

#### **DTS – 154 km Makhinjauri – Poti – Zugdidi – Lia**

Całą noc ktoś niedaleko nas biesiadował. Co chwilę budziliśmy się, nie dało się spać. Rano jemy śniadanie, gdy nagle przed nami pojawia się niski, grubiotki, narąbany jak szpadel goście i prosi o pomoc. „Zakopałem się samochodem, o tam” – pokazuje. „Pomożecie wypchać?” – pyta. Idziemy z Lamą. Jest tu jego kompan, narąbany tak samo. Próbuje, nic z tego, za grząski grunt. Odchodzimy. Obserwujemy, co się będzie dalej dziać. Przyjeżdża do nich taksówka. Taksówkarz wjeżdża pod samo morze i próbuje wyjechać rozpedem. Nie dał rady. Zostawia ich tak. Ten sam goście przychodzi jeszcze raz. „Chodźcie, spróbujemy jeszcze raz” – prosi. Idziemy we

trzech. Bez powodzenia. W ogóle się tym nie przejmują, że utknęli na plaży. Cały czas się śmieją i kręcą filmiki. Przyjeżdża pomoc drogowa. Popatrzyli i stwierdzili, że potrzebny jest samochód z napędem na cztery koła. Odjeżdżają. Pakujemy się i spadamy. Ciekawe, jak zakończyła się ich historia. Nawet w trudnej sytuacji nie ma się czym martwić, można by pomyśleć. Wzdłuż Morza Czarnego pokonujemy kolejne kilometry, mijając mnóstwo miasteczek wypoczynkowych. Dojeżdżamy do Poti. Szukamy większego sklepu, ciężko. Jedziemy pod „prać”. Zatrzymuje nas policja. Nie możemy się dogadać. Policjant wręcza mi telefon. „O co chodzi?”. „Hello” – słyszę w słuchawce. „Hi” – odpowiadam. „How are you? Fine. Are you feel safe? Yes. You need something? We looking for big shop. Ok. Bye, Bye”. Trochę zdziwiony byłem tą rozmową. Obawiałem się, że poinformuje nas, iż dostaniemy mandat. Oddałem telefon. Po chwili policjant: „Dawajcie za mną do marketu”. Wow. Zwykły sklep, ale niech będzie. Jeszcze rowery nam popilnowali. Jedziemy dalej. Zatrzymujemy się na kawę. Przysiada się jakiś klient – Kaha. Od słowa do słowa i już stawia duży browar. Opowiada o swoim życiu. Był na zachodzie Europy, zajmował się złodziejstwem i napadami z bronią w rękę. Deportowali go. Pokazuje sznyty na rękach i szyi. „Nie róbcie mi zdjęć. Nie mówcie nikomu, że tu jestem” – ostrzega. Prawda czy nie, fajnie opowiadał. W drogę. Na przystanku zatrzymujemy się coś zjeść. Zatrzymuje się rozgracone bmw. Wysiada policjant. Pyta czy czujemy się bezpiecznie i czy wszystko ok. Pewnie że tak. Docieramy do Zugdidi. W mieście mija nas radiowóz wesołych policjantów. Pytają dokąd jedziemy. Mestia – odpowiadamy. „Dawajcie za nami”. Znowu eskorta. Holują nas kilka kilometrów. Znikają, ale za chwilę pojawia się kolejny radiowóz, który jedzie przed albo za nami. Skracamy w bok i zaczynamy rozbijać obozowisko. Po ulicy radiowóz jeździ w tę i z powrotem. Pojawia się drugi. Po pół godziny podjeżdża do nas radiowóz z pięcioma policjantami. Jeden wysiada z „kałachem”. O kurde. O co chodzi? Wyjaśniają nam, że nie możemy tu zostać. Pytamy czemu? „Bo tu są wilki” – wyjaśniają. Zaczęłam się śmiać. „Nie, jakie wilki? Przecież wszędzie tutaj wałęsa się wszelakie bydło i jakoś wilki nie atakują, to nas zaatakują? To jakiś żart”. Nie dali za wygraną. „Zabieramy was stąd”. W czasie naszej rozmowy jeden z policjantów przeskoczył przez płot i narwał orzechów. „Macie, to dla was”. Zapakowaliśmy nasze graty i Lamy rower na ich pick-upa i ruszyliśmy w bezpieczne miejsce. Lama jechał radiowozem. Zbyt nie różniło się od tamtego. Stał krzyż. Stwierdzili, że to bezpieczne miejsce, bo święte. Z tyłu były jakieś budynki. Pojawił się drugi radiowóz. Coś tam między sobą pogadali i ci pierwsi odjechali. Podchodzą ci drudzy i mówią: „Nie możecie tu spać”. Pytamy czemu? „Bo to niebezpieczne miejsce” – odpowiada. Gdzieś to już słyszeliśmy. Chyba sobie jaja robią. Nie ruszamy się stąd. Nie ma szans. Zgodzili się. Podjechali do budynku z tyłu i z kimś tam rozmawiali. Wrócili do nas. Gadka szmatka. Pytam gdzie najbliższy sklep. Odpowiada że 1 km. Tak, na pewno. „A co potrzebujesz?” – pyta. „Piwka byśmy się napili”. „To siadaj z nami, pojedziemy radiowozem”. Nieźle się zdziwiłem. Okna uchylone, muzyka głośno, migające

światła. Jedziemy po piwo. Odwieźli mnie i pojechali. [...] Kiedy spokojnie kładliśmy się spać, grubo po dwunastej, podjeżdża samochód. To jeden z policjantów, który wcześniej tu był. Przyjechał prywatnym autem. „Będę tu spał w samochodzie, żeby wam się nic nie stało” – poinformował nas. Ludzie, co za kraj, co za policja. W jakim innym państwie jest taka policja. Na pewno nie w Polsce. Może by ich tu przysłać z Polski, żeby nauczyli się kultury. Spać.

#### **Dzień 22**

##### **DTS – 93 km Lia – Jvari – Zeda Lukha**

Patrząc na minę tego gliniarza, który spał w samochodzie, to się nie wyspał. Cały powykrzywiany był. Podziękowaliśmy za ochronę i pomoc. Spakowaliśmy „mandżur” i poszli do Chińczyka. Przygotował chińskie śniadanie. Kleik z ryżu, ciapata, ser, sałata, ryż i czai. Ujdzie, trzeba lubić takie wynalazki. Potem pozwiedzaliśmy fabrykę i w drogę. Po przejechaniu 3 km spotkaliśmy rodzinę sakwiarzy z Holandii. Zmierzali w tym samym kierunku co my. Znowu wracamy w wysoki Kaukaz. Zaczęły się długie i strome podjazdy. To co najbardziej lubimy. Wzdłuż rzeki Enguri wspinamy się coraz wyżej i coraz wyższe szczyty nas otaczają. Pojawiają się góry powyżej 4000 metrów. Niestety Elbrusa nie było widać z drogi, którą jechaliśmy. Nocleg na cmentarzu. A czemu nie, każde miejsce jest dobre, jak jest dobre.

#### **Dzień 23**

##### **DTS – 83 km Zeda Lukha – Mestia – Ushguli**

Poranek przywitał nas ładnymi widokami. Bielutkie szczyty lśniły w słońcu. Rześkie, czyste powietrze dawało mocy w nogach. Zawitaliśmy do Mesti. Typowo turystyczne miasteczko. Spotkaliśmy parę osób z Polski. Tutaj kończy się asfalt. Dalej podążamy drogą gruntową. Po drodze spotykamy Emila i, jeśli dobrze pamiętam, Agnieszkę z Bydgoszczy, którzy podróżują samochodem terenowym, a co ciekawe biorą tutaj w Gruzji ślub. Wszystkiego najlepszego. Przebijamy się przez przełęcz Uguri (1920 m) i zmierzamy do Ushguli. Po drodze zatrzymujemy się na kąpiel i pranie. W czasie tych czynności koło nas zatrzymuje się van z turystami. W środku Aga z Piotrkim, właśnie wracają z Ushguli. Zamieniliśmy parę słów i pomknęli. Końcówka przed Ushguli bardzo wymagająca ale widoki i otoczenie rekompensują wszelki wysiłek. Teraz nagroda. Zimne piwko na wysokości 2100 m. Wokół białe szczyty i zachodzące słońce, które przyjemnie grzeje. Dosiadamy się w barze do Polaków. Wskazują miejsce gdzie śpią. Na miejscu okazuje się, że znajduje się tu rodzina z Oleśnicy. Jest ciekawie. Od razu przystępujemy do gotowania. Nie ma nic lepszego niż gorący posiłek. Powoli zapada zmrok. Z naszego obozowiska widać idealnie najwyższy szczyt Gruzji Shkharę (5068 m).

#### **Dzień 24**

##### **Dzień przerwy**

Z samego rana postanawiamy pójść na lodowiec górski pod Shkharę. 5 km udało się przejechać rowerem, dalej na piechotkę. Im bliżej byliśmy Shkhary wydawała się wyższa i groźniejsza. Na wyciągnięcie ręki. Przez zarośla i po skałach dotarliśmy do czoła lodowca. Kilkunastometrowa „ściana” lodu. Niebezpiecznie jest podchodzić pod samą „ścianę” gdyż z topniejącego lodu wciąż spadają

elementy skalne od piasku do kilkumetrowych skał. Trzeba obserwować by nie zostać uderzonym. Wracamy w kierunku rowerów. Na miejscu okazuje się, że Lama zostawił kurtkę na wierzchu a „wszystkozjadliwe” krowy chciały ją pożreć ale nie dały rady. Mimo to, mamląc, zniszczyły ją. Wróciliśmy do Ushguli. [...]

#### **Dzień 25**

##### **DTS – 93 km Ushguli – Tsana – Lentekhi**

Chłodno ale nie pada i o to chodzi. Trochę żal, że chmury przysłaniają góry. 9 km podjazdu i jesteśmy na przełęczy Zagaro (2623 m). Najwyższe szczyty „utonęły” w chmurach. Zaczynamy zjeżdżać. Droga bardzo wyboista, mnóstwo kamieni, ostre zjazdy, na dodatek drogą często płynie woda albo strumień przecina drogę. Jedzie się bajecznie. I tak 30 km. Pojawiają się pierwsze osady. Powoli opuszczamy jedno z najpiękniejszych i najdzikszych miejsc w Gruzji – Svanetię. [...]

#### **Dzień 26**

##### **DTS – 113 km Lentekhi – Tsageri – Alpana – Kutaisi**

Wszyscy zerwali się błyskawicznie. Ostatni dzień na kółkach. Może dlatego dziś tak dobrze się jechało. Z Tsageri ku naszemu zaskoczeniu był długi podjazd serpentynami. Dobrze trzeba było pchać w napęd nogami. Gdyby nie fatalna droga to za moment dojechalibyśmy do Kutaisi. Z tego miasta pociągiem jedziemy do Tbilisi. Niestety tak wyszło. Zabrakło trzech, czterech dni żeby „dolecieć” na kołach. [...] Najwyższa pora gdzieś się przespać. Jedziemy na dworzec PKP. Rozkładamy się na tarasie.

#### **Dzień 27**

##### **Dzień przerwy**

Budzą nas przewijający się na stacji ludzie. Jedziemy za miasto poszukać strumienia, żeby przed podróżą umyć się. Szybko udało się znaleźć. Czekamy na pociąg, już czas. Podjeżdża jeden wagon. Ze zdziwieniem patrzymy na siebie. Rowery z trudnościami ale upchane. Rozsiadamy się wygodnie w fotelach. [...] Docieramy do Tbilisi. Zakupy i gonimy w pobliże lotniska. Rozbijamy się bardzo blisko. Ostatnie ognisko tej wyprawy. No i Lama poleciał. Będzie pierwszy opowiadał, co tu przeżył.

#### **Dzień 28**

##### **DTS – 61 km Tbilisi – Tbilisi**

Zostaliśmy we dwóch. Wracamy do centrum Tbilisi. Cały dzień wylegujemy się w parku, korzystamy z życia. [...] Podjeżdżamy na lotnisko, pakujemy rowery oraz „mandżur” i czekamy, i czekamy, i czekamy. Żal odjeżdżać. Ładujemy o siódmej rano w Warszawie. Ziąb jak nie wiem: 13°C. Kiedy wylatywaliśmy, to w Tbilisi o piątej rano było 25°C. [...]

**P.S.** Gruzja i Armenia to autentyczna i wielka gościnność, nie mająca zbyt dużo wspólnego z polskim „zastaw się, a postaw się”. Tu nic nie jest na pokaz, wszystko to zwyczajnie wielką radość z życia i spędzania czasu z bliskimi i przyjaciółmi, gdyż „człowiek żyje przyjaciółmi”. Odnosi się wrażenie, że życie tutaj to jedna wielka biesiada. Tu zupełnie inaczej liczony jest czas. Tu się nikomu nie spieszy. Tu można jeść i pić do rana.

Więcej o wyprawie na stronie [www.michalbarabasz.pl](http://www.michalbarabasz.pl)

Aleksandra Chęcińska

## Moje studia na Uniwersytecie Idaho

Nazywam się Aleksandra Chęcińska. Urodziłam się 11 grudnia 1984 r. w Kraśniku. Moi rodzice, Mirosława i Władysław mieszkają w Bęczynie, gdzie prowadzą gospodarstwo rolne. Mój brat Jakub pracuje razem z rodzicami, natomiast siostra Beata jest studentką drugiego roku architektury i urbanistyki Politechniki Lubelskiej.

W roku 1999 ukończyłam szkołę podstawową w Urzędowie, a następnie uczęszczałam do klasy o profilu ogólnym z rozszerzonymi elementami informatyki w Liceum Ogólnokształcącym im. Władysława Jagiełły w Urzędowie. W okresie szkolnym brałam udział w różnego rodzaju inicjatywach związanych z uroczystościami narodowymi i lokalnymi wydarzeniami. Wraz z członkami zespołu tańca Gminnego Ośrodka Kultury reprezentowaliśmy Urzędów i promowaliśmy polską kulturę po rozpoczęciu wymiany kulturowej z węgierskim miastem Nádudvar. W czwartej klasie liceum brałam udział w obradach szkolnych kół europejskich na szczeblu lubelskim, a także krajowym, w Sejmie Rzeczypospolitej Polskiej. W roku 2003 rozpoczęłam studia magisterskie na kierunku biologia Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi (BiNoZ) Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Oprócz głównego kierunku, ukończyłam blok przedmiotów pedagogicznych oferowanych przez wydział BiNoZ, powiązany z praktykami, które odbyłam w Zespole Szkół Ogólnokształcących im. Władysława Jagiełły w Urzędowie. Praktyki laboratoryjne odbyłam w Zakładzie Biologii Molekularnej w Instytucie Biochemii i Biofizyki Polskiej Akademii Nauk w Warszawie. Studia magisterskie ukończyłam ze specjalnością „biochemia” uzyskaną w Zakładzie Biochemii UMCS.

Będąc studentką ostatniego roku, złożyłam aplikację o praktyki na University of Idaho (UI) w Moscow w Stanach Zjednoczonych i pomyślnie przeszłam kwalifikacje. Tego typu staż jest oferowany od ponad 10 lat z inicjatywy prof. Andrzeja Paszczyńskiego. Wraz z czterema studentkami z kierunku biotechnologia, rozpoczęliśmy praktyki na wydziale Mikrobiologii, Biologii Molekularnej i Biochemii UI. Przez okres trzech miesięcy pracowałyśmy w laboratoriach kierowanych przez różnych profesorów, w moim przypadku prof. Paszczyńskiego. Mój pobyt zaowocował możliwością podjęcia studiów doktoranckich oferowanych wraz ze stypendium pokrywającym czesne i koszty utrzymania. W styczniu 2009 r. zostałam studentką Environmental Science, czyli interdyscyplinarnego kierunku nauki o środowisku naturalnym i jego ochronie. Projekty badawcze, które składają się na przedmiot mojego doktoratu mają na celu ulepszenie nowoczesnej metody sterylizacji z nadkrytycznym dwu-

tlenkiem węgla, która początkowo w naszym laboratorium była rozwijana na potrzeby sterylizacji termicznie wrażliwych materiałów i elektroniki, ale docelowo może być także używana w przemyśle farmaceutycznym, medycznym i spożywczym. Część mikrobiologiczna mojego projektu ma na celu charakterystykę spor mikroorganizmu środowiskowego *Bacillus pumilus*, z naciskiem na ich wytrzymałość względem fizycznych i chemicznych czynników sterylizacji. Oprócz prowadzenia badań, do moich obowiązków należało również prowadzenie zajęć oferowanych przez mój kierunek, jak też nadzorowanie

studentów pracujących nad indywidualnymi projektami badawczymi w naszym laboratorium. W czasie studiów uczestniczyłam w seminariach i spotkaniach prowadzonych przez naukowców (m.in. głównego naukowca NASA), działaczy społecznych czy też artystów. Kilka razy prezentowałam wyniki moich badań na spotkaniach naukowych w obrębie stanu Idaho, jak i na głównych spotkaniach American Society for Microbiology (Amerykańskiego Towarzystwa Mikrobiologicznego) w Nowym Orleanie i San Francisco. W chwili obecnej przygotowuję się do obrony pracy doktorskiej, a po ukończeniu studiów chciałabym nadal pracować w środowisku akademickim, prowadząc badania naukowe.

Bardzo cieszę się z szansy studiowania na amerykańskiej uczelni. Uważam, że wymiana doświadczeń, pomysłów i ciągła nauka są nieodłącznie wpisane w styl życia pracowników naukowych, co wiąże się ściśle z pracą w różnych instytucjach zarówno w kraju rodzinnym, jak i za granicą. Z tego też powodu pracuję najlepiej jak potrafię, aby w przyszłości móc dzielić się uzyskaną wiedzą i doświadczeniem.

Oprócz spraw związanych ze studiami, wraz z innymi studentami z Polski w miarę naszych możliwości promujemy polską kulturę i tradycję. Nasi przyjaciele z USA i innych krajów uczą się polskich słów, a także dobrze znają polskie potrawy (szczególnie pierogi cieszą się ogromną popularnością). W roku 2009 nasza polska reprezentacja wygrała uniwersytecki festiwal „Cruise the World” („Zwiedz świat”), podczas którego studenci UI promowali kraje swojego pochodzenia. W mojej ostatniej podróży do Polski w czerwcu 2011 r. towarzyszyła mi moja koleżanka ze Stanów, która już wcześniej była zaznajomiona z polską kulturą. Z wielką przyjemnością pokazałam jej moje rodzinne strony, a także Lublin i Kraków, którymi była zachwycona w równej mierze.

Mam nadzieję, że chociaż moje studia dobiegają już końca, to wykorzystam ten czas w równie dobry i efektywny sposób jak do tej pory.

